



BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

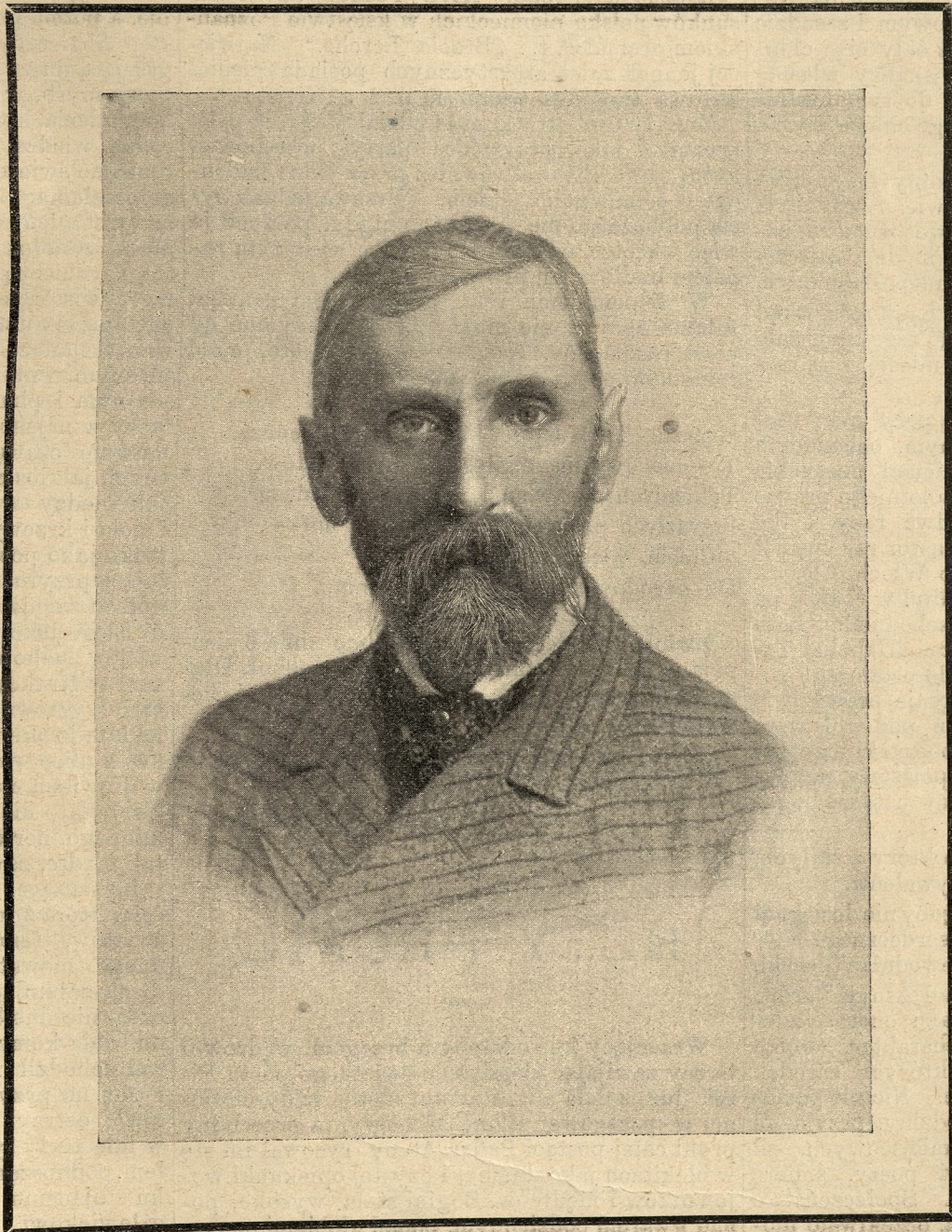
Ś. P.

ADAM ASNYK.

(Wspomnienie pośmiertne).

Stoimy znowu nad świeżą mogiłą największego z swych poetów współczesnych, jednego z najlepszych swych synów. Odszedł od nas na zawsze mąż wielkiego ducha i potężnego talentu, którego natchnione słowa przyświecały nam długi szereg lat jasnym słońcem w dniach szarych bardzo szarych, z którego poezji pililiśmy jak z ożywczej krynicy w chwilach ciężkiego znoju. Śmierć nieubłagana zabrała go w chwili kiedy nam brak lutni jego najbardziej się będzie dawał uczuwać.

Żałobna wieść o śmierci Adama Asnyka odbija się bolesnym echem w najdalszych zakątkach, gdzie tylko bije serce polskie, i wycisnie łzę szczerzego smutku za tym utraconym, a nie zastąpionym. Potomność w wdzięcznej przechowa pamięci imię natchnionego pieśniarza, godnego zasiąść obok trójcy największych naszych wieszczów narodowych; żyć on będzie w pracach swych, które wzniosły się pomnik trwalszy nad spiżę, bo oparty na miłości tego narodu, dla którego do ostatniego swego technie-



Ś. P. ADAM ASNYK.

nia żył i pracował, dla którego snuł „swych myśli przędę i swych uczuć kwiaty.“

Adam Asnyk urodził się w Kaliszu dnia 11-go września 1838 r. z ojca Kazimierza i Konstancyi z Zagórowskich. Tu spędził pierwsze lata młodości, tu doświadczył pierwszych wrażeń dziecięcych, o których nieraz później z rozrzwiniem wspominał, aczkolwiek rodzinnego swego miasta po opuszczeniu go kilkunastoletnim chłopcem więcej już nie oglądał.

Po odbyciu pierwszych nauk w szkołach miejscowych, wstąpił w r. 1856 do szkoły rolniczej w Marymoncie. Niedługo do niej jednak uczęszczał, bo już w następnym roku widziemy go w gronie słuchaczy akademii lekarskiej w Warszawie. Studium lekarskim oddał się zrazu z zapalem i zamiłowaniem, dla uzupełnienia ich udał się nawet na czas pewien na uniwersytet w Wrocławiu, snadź jednak powołanie lekarza nie odpowiadało jego przeznaczeniu. W r. 1860 porzuca medycynę i uniwersytet wrocławski i udaje się do Paryża, gdzie studjuje pilnie ekonomię polityczną, którą to naukę uzupełnia następnie w Heidelbergu.

W r. 1864 widzimy go w Dreźnie, a w rok potem powtórnie w Heidelbergu, gdzie po gruntownym przestudyowaniu zasad filozofii otrzymuje stopień doktora tej umiejętności.

Zdawaćby się na pozór mogło, że to ciągle przezwyciężanie się z jednej gałęzi

umiejętności do drugiej było u Asnyka objawem niezdecydowania lub chwiejności w wyborze przyszłego zawodu.

Tak jednak nie jest. Od pierwszych chwil młodości pożerała go gorączka wiedzy, poważny z natury i głęboki umysł jego wiedział dobrze, że zasklepienie się w ciasnych granicach jednej umiejętności, nie da mu tej satysfakcji moralnej, tego przeświadczenia o duchowej swej wartości, o którym zawsze marzył, do którego z całych sił dążył. Będąc jeszcze wychowancem szkoły w Marymoncie nie zadawał sobie naukami, pobieraniem w szkole, lecz i po za nią oddawał się pilnej pracy, skierowanej głównie ku gruntownemu poznaniu języków obcych, które otwierało mu drogę do poznania bogactw literatury i tem samem przygotowywało go do przyszłego zawodu, o którym wówczas nie snił pewno nawet w snach własnych.

To też pomijając powszechnie przyjęty zwyczaj nakazujący poświęcenie się jednej specjalnej gałęzi wiedzy, studiował ją w rozmaitych kierunkach, wzbogacając i tak już zasobny w zdolności umysł swój coraz to nowszymi pojęciami opartymi na poważnej nauce i obserwacji zjawisk życia społecznego. Wiedział on dobrze, że przy usilnej pracy można być i bez tej specjalności pożyteczną jednostką w swoim społeczeństwie, i rachuby nie omyliły go.

Poważnie, pod okiem pierwszorzędných ówczesnych powag naukowych prowadzone studia filozoficzne pchnęły głęboki umysł na drogę refleksji, każąc mu dociekać prawdy w najdrobniejszym choćby objawie życiowym i zasadzie tej nie sprzeniewierzył się przez cały ciąg chlubnego swego żywota. Drogą analizy własnej duszy, własnego „ja“ doszedł do tych niezłomnych przekonań, które były jego chlubą, bo ich nigdy nie skalał odstępstwem.

Po uzyskaniu doktoratu widzimy go naprzemian to we Lwowie to w Krakowie. Sprzykrzył mu się jednak w końcu ten żywot tułaczy; zapragnął ciszy i spokoju, ażeby mózgi z wszystkich sił poświęcić się szczytnemu posłannictwu.

W r. 1870 osiadł na stałe w Krakowie, z kąd się już nie ruszał, chyba że go do tego zmuszała konieczność przepędzenia kilku miesięcy w cieplejszym południowym klimacie.

Tu w położonym nad Rudawą przy ulicy Łobzowskiej małym domku własnym, ocienionym zielenią, powstały wszystkie niemal poetyckie prace jego. W ciągu trzydziestoletniego prawie pobytu w Krakowie, dwa razy tylko opuszczał na dłuższy czas to miasto: raz spędził kilka miesięcy na podróży do Włoch, Algieru i Tunisu, ostatnią wycieczkę odbył w r. 1894 na wyspę Ceylon i do Indyi Wschodnich. Lato przepędzał zwykle w Zakopanem. Ukochał Tatry całą duszą, nęciły go one do ostatniego roku życia, w nich czuł się jedynie prawdziwie szczęśliwym i zdrowym, tam też pod wpływem upajającej piękności natury poetycki jego geniusz był najpłodniejszy, tam powstały najpiękniejsze perełki jego muzy, których takie bogactwo zawsze rozsnuwał.

A znał te Tatry, jak mało który z stałych, a młodszych latami od niego bywalców.

Niebyłoniemal szczytu, którego by nie dosięgnął w towarzystwie druha swego serdecznego Mieczysława Pawlikowskiego i przewodnika Sieczki.

Przed kilku miesiącami zapadł Asnyk bardzo ciężko na tyfus brzuszny. Z razu choroba zdawała się łagodny przyjmować charakter, zwolna jednak wywiązały się suchoty, których zarodek poeta już dawno nosił w sobie. Nic nie pomogły najtroskliwsze starania rodziny, przyjaciół i najwybitniejszych lekarzy miejscowych, sił brakło steranemu organizmowi poety, śmierć zbliżała się szybkim krokiem. Społeczeństwo polskie z trwogą i biciem serca, oczekiwało hiobowej wieści—ta spełniła się niestety!...

Poeta zgasł dnia 2-go sierpnia o godz. 8 min. 15 rano. Śmierć była lekka. Chory w ostatnich czasach miewał tylko krótkie chwile przytomne, wiedział o smutnej konieczności i oczekiwał jej z poddaniem się. Śmierć poety oplakuje prócz kraju całego, jedyny syn Włodzimierz

student uniwersytetu Jagiellońskiego; żona poety zmarła przy przyjściu na świat syna.

Pierwsze kroki poetyckie Asnyka przypadły na epokę bardzo burzliwą. Pod wpływem nowych prądów i hasła upadła romantyzm bezprowotnie, na gruzach dawnych świątyń powstawały nowe. Trzeba było szukać dróg nowych dla poezji, tak jak ich dla siebie szukała cała ówczesna nauka i literatura. Asnyk widząc, jak powoli rozpada się ten gmach, który tak skrzętnie w wyobraźni swej budował, chciał zrazu rzucić lutnię, opierał się nowym hasłom i pragnął tylko ciszy. Czyż mógł jednak uczynić to poeta tej miary, co Asnyk, czyż mógł zamilknąć śpiewak, któremu pieśni przemocą rwały się z duszy. Nie wypuścił więc lutni z ręki, śpiewał dalej, choć na inną może nutę. A nie było to zadanie tak łatwe; realizm życiowy hardo podnosił swą głowę i groził zagładą wszystkiemu, co technęło choćby pozornie idealizmem. Mimo tych jednak ciężkich warunków potrafił poeta zachować powagę i godność swej lutni, potrafił przekonać, że poezja może zawsze przyświecać społeczeństwu i wskazywać mu drogę do celów wyższych, idealniejszych.

Poezje Asnyka wyszły zbiorowo w czterech tomach, wydawanych kolejno w pewnych odstępach czasu. Niemniej rozgłosne imię zdobył sobie poeta i na polu dramatycznym. Mamy tu kilka komedii, które cieszyły się powodzeniem na scenach polskich, jak „Przyjaciecie Hioba“, „Walka stronnic“, „Komedia konkursowa“, „Gałązka heliotropu“, „Żyd“ i osnuty na tle stosunków polsko-niemieckich w księstwie Poznańskim dramat p. t. „Bracia Lerche“. Najwięcej jednak zalet artystycznych posiada pięć aktowa tragedia wierszem p. t. „Kiejstut“.

Zmarły brał krótki czas udział w życiu politycznym jako przywódca partii postępowej, którą reprezentował również przez jedną kadencję w sejmie galicyjskim. Wrzawa jednak życia publicznego nie nęciła go nigdy, porzucił je więc wkrótce, oddając się z tym większym zapalem umiłowanej przez się poezji.

W wspomnieniu tem, poświęconem pamięci Adama Asnyka, nie mogę się powstrzymać od powtórzenia słów Kazimierza Tetmajera, przed rokiem do poety wyrzeczonych:

Mistrzu! Te laury, co Twą głowę wienczą,
Te—nie uwiedną nigdy! Z Twoich słów,
Tętniących męstwem i mocą młodzieńczą,
Przyszłych pokoleń wychowa się huf—
I Ciebie, wielki poeto, powoła
Do narodowych pamiątek kościoła...

Zwłoki wielkiego poety złożono dnia 6 sierpnia w grobie Zasłużonych na Skałce obok Długosza, Kraszewskiego, Lenartowicza, Pola i Siemińskiego.

A. Dobrowolski.

EL...Y PROFIL.

Wracający ku rodzinnym brzegom, wędrowni Grecy zawijając niegdyś do świetnego portu Pirei, już z dala witali szczyt złotej dzidy niesionej w posagowej dłoni Minerwy, a przecudny profil całej postaci Pallas-Ateny rysował im się w błękitach jako dumnej i czystej opiekunki wojowników i mędrców. Bogini stała wysoko, ponad gwarem codziennym, ponad głębią morza, nad falą ludzką, a jednak wielcy i maluczy znali ją, znali wybornie tę idealną postać patrzącą w dół ku sprawom świata, zawsze ponad rzeczy doczesne małe, blade, wyosobnioną, jak arcydzieło przystało. Każdą wielkość charakteryzuje to, że skupiając w sobie rzeczy drobne w jedną doskonałą całość, stoi sama wyniesiona nad wszelką

małość, drobność i cząstkowość, a także i to, że chowa w swej istocie jakąś tajemnicę niedostępną dla wszystkich, utajoną, zamkniętą, która dodaje siły i czaru i wpływa pociągająco na ludzką rzeszę. Wielcy ludzie nigdy nie dawali się poznać do głębi, nigdy nie otwierali tajemnic swego ducha aż do ostatecznej jego odcłani, społeczeństwo znalazło ich duchowy profil, widziało ich celów złotą dzidę wytkniętą w przyszłość, zawijało spokojnie do portu ich przekonań i dążeń, ale wielka głowa nurzała się w bezbrzeżnym błękitcie idei owiana często chmurą złotą lub szarą i płomiennej pracy wewnętrznej nie widział nikt. Mianowicie poeci zwracali się ku tłumom takim profilem swego ja, czystym, doskonałym a niedającym widzieć ludziom twarzą w twarz swego jestestwa psychicznego, aż do pokładów kędy w bólach rodzą się perły natchnienia i krążą potwory wylęgle w odcłaniach walki i cierpień samotnych a niedostępnych.

Taki profil duchowy, poetyczny, człowieczy polityczny miał nieodżałowanej i nieocenionej pamięci Adam Asnyk. Gdy stanął na progu swej działalności, młody i zdolny, wrzało na pełnym morzu społeczeństwa naszego; jedni nie wiedzieli kędy płynąć, inni zwiłali żagle w zniechęceniu, drudzy miotali lekkomyślnie kamieniem na wszystko, inni znów rzucali się w wir i toń, a na nowym brzegu wylonionego z wypadków położenia, na polu wiedzy, poezji i czynu niewiedzano jakiemu bogu stawiać świątynię, jak nowy ogień rozniecić, oile stary podtrzymać. Wrażliwy poeta odczuł głęboko smutek chwili, skupił się w sobie, a potem poszedł rażno naprzód, ufny w postęp konieczny ludzkości, „w miłość jak słońce“ grzejącą duszę człowieka, w rozwój bezwarunkowy myśli, w potęgę wreszcie swego własnego natchnienia, które poparte gruntowną, a różnorodną wiedzą, zaczęło tworzyć nową poezję, rozwijać świeże poglądy, dążyć do nowoczesnego działania. Jako liryk utworzył E...li dalszy, nowy stopień polskiej poezji, wlał w uczuciową pieśń, w miłosną strofę, w opis przyrody, istotną psychiczną prawdę, szczerość namietności, rzeczywistość zjawisk natury i zawsze daleki od egzaltacji, umiał być rzecznym, a silnym zarzem, melancholijnym, a nie czułościowym, ironicznym, a nie szydercą, smutnym, a nie jednostajnym i pierwiastek nauki nowej wprowadził w swy w najsubtelniejsze swe liryki, wywoływał dziwnie czarujące wrażenie tych piosenek, smutnych jak los człowieka bywa na ziemi, mądrych jak wiedzy wyniki, a pięknych jak te kwiaty, j i sioła i krzewy i lasy, które kochał, a znał nie tylko jako poeta, ale jako botanik zawołany, miłujący przyrodę w jej alpejskim ogromie i w szczegółach zaledwie oku badacza widzialnych. Profil Elego jako poety—to prawdziwie idealne zjawisko, duchowo i zewnętrznie nawet. Któż nie znał w Krakowie tej wysmukłej, pięknej, o wielkich wymownych oczach postaci, snującej się lekkim krokiem zdala od zbiorowisk tłumnych przez ulice wiodące do przyjaciół lub znikające w drzwiach małego domku na Łobzowskiej pod Nr. 7. Kto nie słyszał tego głosu, trochę przytłumionego, nerwowego, mówiącego często rzeczy tak mądre, zawsze ujmujące, a często dowcipne i błyszczące jakąś wstrzemięźliwą wytwornością, która z niego czyniła człowieka wielkich światów, temu nie danem było poznać jednego niewątpliwie ze współczesnie najbardziej zajmujących Europejczyków. Ale blizsze nie lubił, bo „jak człowiek dobrego tonu, całą komedję salonu, na wylot znał“ więc rad uchodził na swą ateńską wyżynę, patrzył z niej na przyływ i odpływ myśli w społeczeństwie, ostrzył swą złotą dzidę poezji i rzucił w falę perły tych pieśni, które chwytało z zapałem, podnosząc z prawdziwym entuzjazmem oczu ku stojącemu wysoko poetycznemu nad wyraz człowiekowi. To też gdy się znajomym pokazywało Kraków a przechodząc uliczką nad Rudawą, rzekło się:—patrzcie, tu mieszka E...ly!... z ust podróżnych wychodziło równie szczere jak serdeczne: ach! które pielgrzymowi w sonecie Mickiewicza otwiera usta na widok Czatyrdachu.

Poeta był i szlachetnym człowiekiem i rozumnym mężem działającym czynnie w społecznej

walce. Jako stronnictwa swego duch, nie stał się nigdy zaciekle partyzantem, nieprzejednanym fanatykiem, estetyk nawet i tutaj, był gorącym szermierzem, gotów przyjąć zawsze miejsce szeregowca, gdyby sprawa tego wymagała, a jednak zawsze stojąc na czele, nie tyle gwarne słowem, efektownym wystąpieniem, namiętną rozprawą, ile tem samem, że tam był, że imieniem swem skupioną działalność druhow podpisał, że odpowiedzialność wziął na siebie, że oświadczył iż za to, a za to, walczyć warto.

W sejmie jako poseł, rzadko zabierał głos, ale trzeba było widzieć jak na jego czołe wielkiem i bladym jak marmur, rozgrywała się walka stronnictw, jak w oczach uważnie smutnych wrzał mu protest lub radość.

Tak jak w lirykę swą wsącał umiejętnie, bez złamania skrzydeł motylom i zdmuchnięcia barw kwiatom polnym, pożywny miód wiedzy i prawdę rzeczywistości, tak w działalność swą społeczno-polityczną umiał wlewać wyniosłe piękno wyższego człowieka, był stronnictwa nie mieczem obosiecznym lecz lutnią, i miał w niem rolę owych kapłanów ze złotemi harfami, którzy kierują przez talizman pieśni plemienną zawziętą walką na życie i śmierć Wenedów w dramacie Słowackiego. Zawsze chętniejszy ofiarne działać bez wrzawy niż ścierać się na ostrze w chaosie ustnej lub piśmiennej walki, położył wielkie zasługi na polu szkolnictwa w Galicji, stanął na czele Tow. szkoły ludowej i miłością ojcowską otoczył sierocą dolę dzieci polskich na Szląsku. To też dziś równo z kwieciami na trumnę poety sypią się datki na szkołę polską w Białej, stokroć miłsze niezawodnie zmarłemu od wieńców i laurów grobowych. Zniknął nam z horyzontu literatury, z areny działalności publicznej, ten dziwny człowiek, poetyczny a mądry, dobry, a smutny, tak wyrazisty i typowy w swej działalności, a tak zasnuty w bezbrzeżną mgłę melancholii, tak bliski sercu każdego, a tak wyżynowy swą osobistością, której dotknąć, urazić, brutalnie zaciepić nie śmiał nikt, nawet z najzagorzalszych popleczników przeciwnego obozu.

Z rodzajem sympatycznego niepokoju śledzimy jego rysujący się profil na tle współczesnym, bo całej jego duszy, oko w oko nieznamy, kochał ludzi i odwracał te oczy wielkie pełne rozżaleń i lez zaświatowych w dal nieskończoną, „za ideałem tej piękności bezwzględnej,“ która na ziemi nie ma wcielenia, za tym spokojem, który tu nie ma wezglowia, za tą prawdą ostateczną, która jedynie odbywa się po za obrębem zjawisk tej ziemi.

„Nad głębią“ rzeczy ludzkich stojący, oddając co w nim było szlachetnie człowieczego, czas, siły, talent, pracę—ludziom, zachowywał Asnyk w sobie zawsze coś odrębnego jeszcze, coś dalekiego, nieznanego świata, coś, mu nadało chód przechodnia na świecie, i wybranego gościa z lepszych krain, jednym słowem, tajemnicę ducha, wieczną zagadkę odosobnionego ja, które spełniając swą misję na świecie należy do wszechświata i tam ulatuje, gdy mu się więzy widzialnego nam globu rozkruszą. Zostaje nam zatknięta na historycznej Skalce, między pastorałem Długosza, berłem Kraszewskiego, lirenką Lenartowicza, złota dzida poezji Elege, błyszcząca i mocna, która długo będzie wskazywała rodakom jak to się znajduje drogę do portu wśród zamętu zdarzeń, ducha pogrążeń i upadków serca, kędy i jak się idzie, aby służyć idei, ludzi jednać ze sobą, a nie dzielić, a walczyć za poezję zawsze tak, aby w niej ludzie prawdę bezwzględną ujrzeli, i ścierać się o rzeczywistość spraw doniosłych tak, aby nie stracić w utarczce wzniesłego znamienia człowieka, umiającego wśród gromów namiętnych rozpraw ocalić cudną poezji ludzkiej błyskawicę.

Szczesna.

W dzień pogrzebu Adama Asnyka.

Łecz dzwony, huczą dzwony...

Ludu! czoło zniż

Oto jeden grób nam przybył,

Przybył nowy krzyż!...

Wielkiej arfy rwą się struny,

Które przez wiek cały,

Z pokolenia w pokolenie,

Pieśń gromową grały,

Arfo! arfo! urodzona

W pierwszych wieku dniach,

Coś kazała duszom naszym

Tonąć w rajskich snach—

Dziś ostatnia ze stron twoich

Struna się zerwała,

Hejnałowa pieśń przedświtu,

Czar nasz—nasza chwała!

Po zgaśnięciu pieśni wielkiej

Pożarowych łun—

Nowi przyjdą tu pieśniarze,

Dotkną innych strun —

Lecz czy naszą pierś wypełni

Owych piewców granie?

Czy miłości im, czy ognia

Na wiek cały stanie?

Sunie czarny wóz przede mną —

Sercem miota lęk —

Powstrzymuję lży ogromne —

Tłumie w piersi jęk...

Do strun dawnej, arfy dawnej

Wyciąga się ręka —

Słyszę łoskot... ach! to może

Moje serce pęka?

O, milcz serce!... Lśni nie złota

Pośród czarnych szarf —

Z pokolenia w pokolenie

Pójdą echa arf:

Na pierś wyschłą, czoło zimne

Upiór pieśni siedzie,

I gryść będzie, szarpać będzie,

Palić ogniem będzie!

Próżno rzuca pokost nowy

Na chat naszych zrab:

Dawną pieśnią się odezwie

Mur — żelazo — dąb;

Sny przewiną się przez czaszki,

Wstaną złote mary,

Na spragnione usta padnie

Kropla z dawnej czary.

Idź w mogiłę, trumno wielka!...

Ty, co leżysz w niej

Praprawnuku Adamowy —

Sen spokojny miej!

Narodzą się pieśni Twojej

Godni spadkobierce

I przyniosą narodowi

Wielką myśl i serce!

Kazimierz Gliński.

POGRZEB POETY.

(KORRESPONDENCYA „BLUSZCZU“).

Kraków, 7 Sierpnia.

W dniu 6 sierpnia Kraków majestatycznie chował szczątki wielkiego poety w Grobie Zasłużonych. Już o godzinie 3 po południu rozpoczęły się przygotowania do olbrzymiego pochodu. Na karawanie spoczęły wieńce, przeróżne zaś deputacje dźwigały ich jeszcze bardzo wiele. Mistrzami ceremonii byli: Weigel, Marynowski i Fenz.

Kiedy trumnę wyniesiono z domu, prezydent miasta Friedlein w te słowa przemówił do zgromadzonych tłumów:

„Jako gospodarz tego grodu mam spełnić zaszczytny dla mnie oraz bolesny obowiązek i pożegnać umiłowanego przez wszystkich poetę, jednego z najznakomitszych współobywateli naszego miasta i członka jego Rady. Żegnam Cię też, Adamie, w imieniu mieszkańców tego grodu. Żegnaj nam na wieki!“

Chór „Lutni“ pod kierunkiem dyr. Steibelta odśpiewał pieśń żałobną: „Pożegnał już ten świat.“

Kondukt ruszył. Otwierały go trzy plutony straży ogniowej i ochotniczej, dalej kroczyły deputacje, duchowieństwo, członkowie sejmu, przedstawiciele literatury i sztuki, Akademia Umiejętności z prezesem hr. Tarnowskim na czele, uniwersytety Jagielloński i lwowski, młodzież.

Zwłoki poety spoczywały na umyślnie zbudowanych marach złożonych na wozie zaprzężonym w 6 karych rumaków, które wiódł lauffer żałobny.

Mary te o trzech stopniach, obite czerwonym sukmem ze srebrnymi frenzlami, ubrane były w girlandy, uwite z liści dębowych, palm i kwiatów polnych.

Wieniec olbrzymi z liści palmowych i kwiatów od syna spoczął na trumnie.

Przepiękny, poważny i majestatem śmierci groźny był widok tego pochodu przez ulice Krakowa zwłok wielkiego poety, prawego spadkobiercy lutni wieszczów.

Przed kościołem na Skalce w imieniu Wydziału krajowego przemówił Tadeusz Romanowicz. Po nim zaś zabrał głos Maryan Gawalewicz, delegat prasy warszawskiej, i mówił w te piękne słowa:

„Po śmierci kochać mnie będziesz, ty chłodny milczący tłumie...“

„Nie, nie po śmierci dopiero poeta ruin i zgłiszczy, coś na wyłomie pierwszy stanął, smutny i zatroskany z swą lutnią w ręku i śpiewał, aby „nas rozpacz w odmet nie zanosła.“ Nie po śmierci dopiero wzięłaś miłość i cześć, należną prawdziwemu kapłanowi pieśni; zdobyłeś je za życia i miałeś do nich najszlachetniejsze prawo, krzepiąc serca targane między „celem jasnym, a trwogą beznadziejną.“

„Wdzięcznym śpiewałeś, bo oto ogół świeże jeszcze z Twej skroni zdejmując wawrzyny, którym Cię tak niedawno wieńczył uroczyste, skrapia je łzami, jak rosą i składa znów na twojej trumnie, by zieleniły się wiecznie w tym „grobie zasłużonych.“

Z wszystkich stron zbiegli się bracia Twoi na wieść, że odchodzisz od nas na zawsze, a zbiegli się smutni i z sercem zgnębionem, pożegnać Cię i czołem przed Tobą uderzyć i jęknąć boleści wyrzutem: „Śmierci, czemu go nam zabierasz, dlaczego znów zadajesz nam nową ranę?“

Nie byłby pełnym ten chór głosów pożegnanych, co za Tobą polecą w światy zagrobowe i świadczyć będzie Bogu, jak drogim i zacnym tu byłeś, gdyby żywy głos z Twoich rodzinnych stron, gdzieś się urodził, gdzieś młodzieńczy wiek spędził, gdzieś tyle marzeń, rojeń, uczuć i nadziei pozostawił, nie wplótł się w ogólny ten akord żalu i boleści. Więc dano mi ten zaszczyt, abym w imieniu warszawskiej prasy,

tanął w tym pochodzie żałobników, którzy Cię do grobu odprowadzają i pożegnał Cię odchodzącego „pod stopy krzyża” na wieczny spoczynek. Jeżeli wolno prasie nazywać się ustami społeczeństwa, to te usta pochylają się w tej chwili na Twą śmiertelnie bladą skroń z ostatnim pocałunkiem miłości, czci i pożegnania.

„Odejdź duchu zasny, szlachetny, a smutny, odejdź w pokój, boś pozostawił nam tu swoje pieśni, w których najszlachetniejsza Twa częśćka żyć będzie z nami i przypominać zawsze o tobie i ideałom Twoim służyć wiernie. Odejdziemy za chwilę ze łzami w oczach od Twojej trumny, kryjącej to tylko, co w Tobie było śmiertelnego, ale za nami pójdzie Twój głos, który jeszcze z tej krypty grobowej brzmieć będzie, jak hasło dla całych pokoleń:

Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe!”

Bardzo piękną również mowę w dalszym ciągu wygłosił Lucyan Rydel, w imieniu młodszej generacji poetów:

„Trumna ta—mówił—warta tego chwalebne grobu i godna, by się przed nią na pożegnanie schyliły głów tysiące, bo w niej spie serce, które kochało bardzo i bardzo cierpiało, i spoczywa w niej to czoło szlachetne, a smutne, opromienione do niedawna blaskiem natchnienia, a uwieńczone sławą na zawsze.

„Głos poety odbijał się echem szerokim, a śpiewnem wszędzie, dokąd sięga polska mowa, i tym, którzy smutni naprawdę niósł nadzieję.

„Sam nie żądał nic—szedł przez życie z zaparciem samego siebie, a gdy cierpiał, to samotnie i bez skargi. Jak on przed laty obejmował spadkiem lutnię po trójcy wielkich wieszczów i struny jej do prądów czasu i potrzeb narodu dostroił—tak dziś po nim biorą to samo wielkie i ciężkie dziedzictwo młodzi poeci. Więc nie damy zgłuchnąć tym pieśniom...”

Na końcu w imieniu towarzystwa szkół ludowych przemawiał d-r Bandrowski i w imieniu młodzieży uniwersyteckiej akademik Gryźniecki.

Około godziny 7-ej wieczorem złożono szczątki poety w Grobie Zasłużonych obok Długosza, Pola, Kraszewskiego, Lenartowicza i Siemieńskiego. I poeta spoczywać tu będzie w uroczej ciszy poetycznego tego ustronia, oblanego Wisłą, naprzeciw Wawelu, na miejscu poświęconem krwią św. Stanisława.

J. H.

POGAWĘDKA.

Nie przypominamy sobie czy Falb, we wróżby się wciąż bawiący, przepowiadał klęski, jakie Europie całej przyniosły pierwsze miesiące letnie. Burze piorunowe, huragany podwalinami domów kamiennych wstrząsające, trzęsienia ziemi, urywania się chmur, niepamiętne powodzie: oto, zaiste, smutna kronika, jaką w rocznikach swoich każdy naród zapisze. Nie pamiętamy roku tak obfitego w wypadki, do których włączyć musimy katastrofy kolejowe, pożary miast i wybuchy gazów w kopalniach. Ale jeżeli przeżają nas grozą swoją ślepe siły, coż mówić o ludziach, wysilających potęgę swojego umysłu do zadawania ran? Na ohydę podobną serce się wzdruga i mimowoli wybiega z ust pytanie:

— Cywilizacyo, czy nie jesteś ty dziwiękiem pustym, oszukaństwem wieków, wielkim kłamstwem ludzkiego postępu?

Jak ślepe siły przyrody sprzysięgły się z sobą, by poturbować trochę ziemię, tak mądrość pruska zawzięła się na dwumilionową garstkę polaków, zapominając, że radzi nie radzi, lecz weszli w skład wielkiej niemieckiej ojczyzny, i są wiernymi poddanymi, broniącymi tylko przyrodzonych praw swoich. Prawda, że od

wieków zamierzchłych plemię słowiańskie nie cieszyło się przyjaźnią Niemców; ale barbarzyństwo tych czasów powinno od dawna się usunąć i choć odrobinę dać miejsca humanitarnym pojęciom wieku naszego.

Pojęcia!

Bal czem one są gdy na siebie nie wezmą królewskiej szaty czynu?—Znalazłaby się tu jeszcze odpowiedź, że nie od razu te pojęcia wcielić się mogą, że dopiero są ziarnem rzucaniem, z którego wyrośnie piękny, pszeniczny kłos. Potrzeba więc chwalić rękę siewcy i ze spokojem oczekiwać plonu przyszłości.—Obnażyli się jednak strasznie niemieccy siewacze i ujrzelśmy, że naród filozofów o uczciwej sobie nie myślał nigdy. Mniejsza o berlińskie sfery rządzące, o szczytne zadanie osławionego towarzystwa hakatystów—ale oto wystąpiły birety profesorskie i wstrętne błoto uczonemi swemi rękami zgarnęły.

Po wiekach krzywd i szamańskich, naród czeski otrzymał jedno z przynależnych od dawna praw sobie, ażeby wolno było każdemu Czechowi, przemówić w sądach i urzędach w języku rodzinnym i w takimże języku odpowiedź otrzymać. To równouprawnienie, nie krzywdzące w niczem Niemców, rozszerzające tylko odebrane gwałtem prawa ciemniejszego narodu—nie podobalo się dawnym panom. Wolno zresztą im było rzucać się i sarkać, lamentować nad efemeryczną krzywdą: ogół ten krzyczący nie składał się ani z serc wielkich ani umysłów mocnych. Lecz oto wrzenie zapanowało we wszystkich uniwersytetach niemieckich: ośmiuset profesorów, ten kwiat inteligencji, to czoło niemieckiego narodu—stało po stronie... krzywdzących...

Szalone bankructwo rozumu, ohyda, o jakiej wyznam szczerze, pojęcia nie miałem!—Także się to kończył wiek dziewiętnasty, wiek odkryć olbrzymich... kamienne serce mający!... Mimowoli, przez dziwne kojarzenie się pojęć, od powodzi do Niemców przyszedłem. Bo to także powódź, stokroć gorsza od wylewu Dunaju i szamańskich się Wisły szarej.

Kraj nasz jednak najmniej ucierpiał, choć i tu bez pewnych strat się nieobeszło. W wielu miejscach żyto zczerniało na pniu, kartofle pogniły, urodzaj, cieszący rolnika, nadzieję zawiodł. Coż z tego, że mówią o podwyższeniu się cen zboża, gdy zboża tego mamy nie wiele? Najgorsze jednak przeszło, choć proroctwa Falba mówią jeszcze o dniach krytycznych.

Według tego wróżbity, Sierpień do dnia 23 będzie upalny, suchy, bez jednej kropli dżdżu. Później niebiosy w pioruny uderzą i gromami zagrają, mają przyjść burze wielkie, i chłody ziemię ścisną. O tem wszystkim mówi nam Falb i ostrzega—lecz coż z ostrzeżeniem poradzimy? Z motyką na słońce nie porwać się, musimy więc ze spokojem oczekiwać spełnienia się niemiłych proroctw i przygotować się do wrażeń, jakie dadzą huragany, roztrzaskujące się piorunami pod obłokami.

Gdyby nie klęski, które są następstwem owych wybryków przyrody, piękność zjawiska, może by i pożądaną była. Powszedność życia, jednostajność dni bieżących, toć nie jest zabawnem. Burza piorunowa, przeplatana ognistymi wężami błyskawic, na mnie przynajmniej, nie wypowiedziany urok wywiera. Czuję nowe życie drgające w sobie, stałym, zdaje się, wiek cały zasłuchany w tę muzykę gromową, wpatrzony w niebo błyskawicami orane. Muszę tu wam opowiedzieć, czytelnicy moi o jednej nocy, dni kilka temu na Podolu spędzonej, o cudownym zjawisku, jakiego byłem świadkiem, które może poraz drugi już nie powtórzy się w życiu.

Jechałem z dwoma towarzyszami podróży do Starego Konstantynowa.—Noc była ciemna, bo chmury całe niebo okryły, a cisza taka w powietrzu, żeśmy słyszeli oddechy własnych pierśsi. Konie biegły szybko zachęcane przez wóznice, który, znając dobrze drogę, kierował się wybornie wśród otaczającej ciemności. Nagle coś zaszumiało u góry i z szelestem ogromnym spadła olbrzymia fala wody. Czy to się chmura urwała, czy otworzyły się wszystkie upusty niebios—nie wiem! Lecz nie czuliśmy spadających kropel deszczu, słyszeliśmy tylko kotłowa-

nie się czegoś nad nami i widzieliśmy olbrzymi wodospad, spadający na nas z otehlani podniebnej.

Ale nie na tem zjawisko się skończyło, piękność jego cała polegała na owem *widzeniu* właśnie.

Z szumem wód spadających, spadały jednocześnie z niedojrzanej okiem wysokości ogromne smugi światła. Były to błyskawice przerażająco ciche, oslepiająco jasne, a niewypowiedzianie częste. Cały widnokrąg drgał od słupów świetlnych, szmer fal zamienił się w potężny szum jakiegoś, widziany obszar miał barwę czarną, po którym przebiegały z szybkością niezmierną migotliwe światła z niebios spadające. Mimo to, choć zwolna, lecz powóz posuwał się naprzód.

Nagle wóznica stanął.

— Nic nie widzę panie, nie wiem którą je-chać—rzekł.

Obejrzałem się.

Drgania błyskawiczne, — ognistemi słupami wpadały w głąb jakąś, w przepaść, która u nóg rozwarła się naszych. Zjawisko nowe, nie prędko zrozumiane przez nas. Oto zatrzymaliśmy się na grobli, rozdzielającej na dwoje staw olbrzymi. Odbicia błyskawic tworzyły tę głąb niezmierzoną, to czarodziejskie widzenie, które kazało zapomnieć o zimnej kąpieli, jakiej ja i moi towarzysze używaliśmy.—Strasza czasem, lecz piękną jest natura i jej fantazy!

Ale wracajmy na grunt warszawski.

Zgodnie z przepowiednią Falba Sierpień od upałów się rozpoczął. Po dniach dżdżystych nastąpiło gorąco. Strumienie ognia leją się wprost z rozpalonych błękitów, pierśmiom tchu brak, czuje się nawet coś, niby zniechęcenie do życia. To też kronika miejska zapisała już kilka samobójstw i kilka obłądów nagłych. Zamożni jakos dają sobie rady, biedni cierpią katusze. W podobnych chwilach dopiero możemy ocenić całe dobrodziejstwo *Towarzystwa kolonii letnich*, tej instytucji przez ludzi dobrej woli podjętej, przez ogół podtrzymywanej, odczutej już przez klasy najniższe. Wysyłana dziesiątka do miejsc lesistych, po odpoczynku miesiecznym, wraca zdrowsza z zarumienionemi buziakami, ceraswieższą, weselszą i skorszą do zajęć. Krom tego dobrodziejstwa, serdeczna nie się zawija pomiedzy dobroczyńcami, a przyjmującymi dobrodziejstwa. Dowodem jest list „Biednego robotnika.” Tak się podpisał obok nazwiska, na liście przysyłanym do redakcyi „Kur. Codz.” Wiele mówiący to dokument i dlatego nie wahamy się go przytoczyć naszym czytelnikom:

— Wielmożni Państwo, którzy się opiekujecie dziećmi naszymi, którzy czynicie nam, rodzicom, tak wielką ulgę i sercu naszemu, tak wielką radość, że widzimy dzieci nasze wzmocnione na siłach i zdrowsze.—Wielmożni Panowie i Panie, niech się Bóg wami opiekuje, jak się Wielmożni Panowie i Panie dziećmi naszymi opiekujecie. Serdeczne Bóg zapłać zasługom wielmożnym Panom i Paniom, którzy należą do komitetu kolonii letnich, to jest opiekunom i opiekunkom, doktorom, którzy badają dzieci nasze—wszystkim niech Pan Bóg sówicie zapłaci.

„Proszę Pana Redaktora, jeśli co złe napisane—poprawić i sprostować i umieścić ten list w gazecie.”

I któżby go nie umieścił, tego dokumentu wdzięczności i nagrody dla tych, którzy zajęli się losem dziatwy wydziedziczonej. Przytaczamy i my ten list w całości w nadziei, że niedługo z czytelniczek „Bluszczu” czynem popara szlachetną instytucję kolonii letnich i że te słowa proste, niosące błogosławieństwo i dziękczynienie, miłą będą, a zasłużoną nagrodą.

Jeżeli dla kolonii letnich potrzeba było lat paru, by dobroczynna ich działalność przez szary tłum uznaną została—Pogotowie ratunkowe, wstępnym bojem zyskało sympatyę ogółu. Po kilka razy dziennie daje się słyszeć trąbka pogotowia, karetka pędzi, przez parę dziarskich rumaków ciągniona a za nią tłum zawsze ciekawy najnieciekawszego nawet widowiska. W jednej chwili tworzy się tłok koło powozu, zbity masa ciekawskich ledwo doktorowi do chorego przystąpić pozwala, częstokroć jednak, o niezrozumia-

łych swych nadziejach, zawiedziona zostaje, bo—chory nie był chorym, lecz tylko zwał się z nóg nadużywszy napoju Bachusa. To alarmowanie pogotowia bez sprawdzenia należytego, tak łatwego do sprawdzenia faktu upicia się—jest karygodnem, a zarazem może być wypadkiem pociągającym za sobą weale smutne następstwa. Ktoś rzeczywiście może na mieście potrzebować ratunku, telefonują więc do stacyi pogotowia, tymczasem na razie nikt z pomocą przybyć nie może, bo fałszywy alarm wezwał dyżurującego lekarza do—śpiącego snem twarzym pijanicy. Zrazu myślnie, że nie w złej woli dopuszczano się podobnych omyłek—ale przy rozpatrzeniu bliższem podobnych wypadków, zauważono tu figiel—panów felcerów.

Jak w prowincjonalnych miasteczkach „praktykującemu” aptekarzowi solą w oku jest przybycie lekarza, tak tu pogotowie ratunkowe nie-miłe panów felcerów dotyka. W wypadkach zasłabnięć na ulicach, zdarzających się dość często w tak wielkiem mieście, jakim jest obecnie Warszawa—felcerzy, aż dotąd, bardzo poważną odegrali rolę. Pomogli czy nie pomogli, o to specjaliści od mydła i baniek niebardzo dbali—ale zawsze siaki taki grosz kapnął i głowę się nosiło wysoko, że się w medycynę zabawiono. Obecnie nie golibrodów lecz pogotowie wzywają;—zatem, alarmami fałszywymi potrzeba znużyć gotowego na zawołanie każde lekarza, stołeczka podstawić dla nieprzyjemnej dla panów golarzy instytucji, ostudzić jej zapal w spieszeniu bliżnim z pomocą i—o ile można—dawne stanowisko odzyskać. Niech jednak pamiętają ci panowie figlarze, że kij ma dwa końce i koniec poważniejszy na ich plecach spocząć może.—Nie trudno dowiedzieć się będzie kto wezwał pogotowie, a wtedy będzie można nazwisko tego pana ułożyć z czcionek, posmarować czarną masą drukarską i na białym papierze wydrukować...

Prawda jest czy nieprawda, ale po mieście pogłoska się rozeszła, że grupa osób dobrej woli, uzyskała koncesyję na budowę teatru ludowego. Obyż wiadomość ta nie była zwykłą kaczką lubiącego ploteczki miasta.

Jeżeli się mówi często o higienie ciała, zapomina się częściej o higienie duszy. Człek każdy, bez względu na to „czy źle czy dobrze urodzony,” mówiąc, przebrzmiałym już terminem—potrzebuje rozrywki, odpoczynku po pracy, wytchnienia dla znużonych sił fizycznych i pewnego moralnego zadowolenia. Biedna szwaczka, po skończonych godzinach swych zajęć—nie ma dokąd pójść, ani czem umysłu swojego zasilć.—Umie czytać, lecz nie wie sama co ma czytać—i oto zjawia się filut jakiś, jedną, drugą podsuwa jej książeczkę podejrzaną moralnej wartości, rozpala się główka nieumeblowana należycie, niezdrowe marzenia się budzą kończące się smutnym upadkiem z obłoków. Robotnik—po tygodniowej pracy, wzięwszy zarobek w sobotę, przynosi go do domu wieczorem, a w niedzielę przepija. Niedziela jest dniem odpoczynku, odpoczynek mu się należy, a odpoczynkiem jest zabawa, pewne rozparcie się szerzej, uśmiech głośniejszy, okrzyk zadowolenia. Z czego, do kogo śmiać się będzie ten murzyn biały.

Na rogu tej lub tej ulicy jest szynk—gwar słyhać z wewnątrz i śmiech wesela. Krążą czarki, alkohol zmysły mąci i zapominać każe o biedzie przeżytej i o biedzie, która jutro czeka. I oto krótka chwila wesela zamienia się w rozpustę zwierzęcą; grosz idzie z kalety,—co tam! byleby dzisiaj użyć! Psuje się serce, przytępia się zmysł moralny, nieodegnana nędza stoi u drzwi mieszkania robotnika. Słyhać kwile nie dziecka, płacz głodnej żony,—raz i drugi poruszy się sumienie w piersi nieszczęśliwego męża, lecz raz trzeci milczeć mu każe i staje się wyrodkiem. I oto—dzień odpoczynku... psuje, bo duszy brak pokarmu, brak wyższej podniety do czynów lepszych,—brak rozrywki szlachetnej.

Teatr ludowy, może ten niedostatek wypełnić. Prowadzony przez człowieka mającego rozum i serce, rozumiejącego potrzeby dusz prostaczycy, może nieocenione korzyści przynieść.

Zjawia się i pisarze dramatyczni i filantropia w pomoc zamiarom naszym przyjdzie. Niepowodzenia, jakie na razie przy takim przedsięwzięciu będą, niepowinny zrażać nikogo. Zrazu kilku lub kilkunastu tylko prosta ciekawość pociągnie, później się w głowie rozwidniać zacznie, za ciekawością *potrzeba* przyjdzie, a gdy to nastąpi cel osiągnięty zostanie. Jeżeli prawdziwą jest wieść, którą się dzielię z wami—przyklaskujemy jej z całego serca; jeżeli to tylko echo dobrych a niespełnionych projektów—zasyłamy życzenia wytrwałości w raz powziętym zamiarze, niezrażania się trudnościami—a nie dziś to jutro pożądana całość się złoży.

Rzadko uczęszczamy do ogródków, bo, powiemy szczerze, nie bardzo nas nęca przedstawiane w nich nowości. Wszędzie szablon, mierzność, brak tego, co by nad zwykły poziom się wydobyło. Tłum się śmieje, lecz trzeba być usposobionym do śmiechu, gdy zaś się tego usposobienia niema, nieznośna rodzi się krytyka, która nam cały wieczór psuje. Słyszałem o domowcach jakimiś jest przepelniona sztuka, nosząca tytuł: „Hulaj dusza!”—Twardowski i nieodłączne z nim czary, dyabły i dyablice, szelmostwa ziemskie i dowcipy piekielne—wszystko to mogłoby się złożyć na całość udatną, satyrę ostrą, dowcip jakiś gryzący.

Poszedłem więc do Odeonu—

„Hulaj dusza!...”

Dziarsko to brzmi w tytule—ale w rzeczy samej mizernie wygląda. Gdyby nie mazur zamaszysty, zręcznie odtąnczone „bolero”—i parę innych piasów udatnych—„Hulaj dusza” w ośmiu odsłonach, z całym balastem piekła i wiedźm—nieczem by zatrzymać uwagi naszej nie mogła. W całym utworze zdumiewać może tylko brak logiki i jakiegokolwiek wiązadła. Przypisywana moc czarów Twardowskiemu, jego konszachty z dyablem, zaprzękanie mu duszy, sprowadzenie rudy srebrnej do kopalni Olkusa, by biednych uszczęśliwić, karczma Rzym, wydobyć się Twardowskiego z sidła piekielnych za pomocą litanii do Matki Najświętszej—wszystko to jest tylko snem gorączkowym pana Kacpra, działaniem jakiegoś leku podanego mu przez czarownicę. Twardowski czeka na dramaturga, któryby go pojął czy—jako filozofa, czy—jako postać z podań szlachecko-gminnych, niepozwalającą dyabłu nawet pluć sobie w kaszel...

Zachęciła mnie trupa lwowska nowością odczytaną na afiszach: „Werbownicy” muzyka Jakesza, libretto Or-Ota.

Kompozytora nie znam, librecistę znam dobrze. Komuż zresztą jest nieznanie nazwisko wdzięcznego śpiewaka „Starego Miasta.”

Pan Jakesz, jako kompozytor zaprezentował się bardzo dobrze przed publicznością. Okazał zdolność niemałą w prowadzeniu chórów, rozmaitość motywów nie nużyła jednostajnością, dużo też siły dramatycznej i śpiewności miał utwór omawiany. Nie podobało się niektórym znawcom muzycznym kilkakrotne wprowadzenie duetów miłosnych do jednego aktu. Złożyli to na karb winy librecisty, który, bądź co bądź, wywiązał się z zadania doskonale, tembardziej, że do gotowej już partytury musiał dorabiać słowa.

Wiadomem jest, że libretto poprzedza kompozycję muzyczną. W tym wypadku inaczej się stało. Or-Ot do gotowej już muzyki pisał rzecz całą, siedł więc za wolą kompozytora, a mimo to stworzył rzecz bardzo ładną, doskonale pojętą i doskonale przeprowadzoną. Zaznaczyć tu jeszcze musimy, że wszystkie libretta, Bóg wie jakim językiem są pisane (dość jest przysłuchać się „Powrotowi Taty”), język Or-Ota jest czysty, wiersz dźwięczny, o muzykę sam się proszący. To też składały się do oklasków dłoni słuchaczy, wywoływano autorów—lecz się tylko kompozytor pokazywał na scenie, jako skrzypce pierwsze—twórca libretta nie pożył oklasków.

Rozszerzająca się wzdłuż i wszerz Warszawa, zwiększająca się z rokiem każdym jej ludność, wymaga świątyni, gdzieby ludzie chwalić Pana Boga mogli. W dni niedzielne kościoły są prze-

pełnione, lecz wielu nabożnych nie może zadość uczynić dusz swych potrzebom. Przed bardzo niedawnym czasem jak otwarty został kościół Ś-go Augustyna przy ulicy Nowolipie, wspaniałe mury gotyckiej świątyni na Pradze, choć już dwoma wieżami strzeliły w błękity—nieprędko jeszcze podwoje otworzą i przytulą spragnionych modlitwy, a wkrótce zacznie się budować na Woli kościół nowy;—plany budowniczego Dziekońskiego zatwierdzone już zostały przez wyższą władzę, a będzie to gmach nie mały, mający zmieścić w sobie 4,000 ludzi.

Telegram!...

„Asnyk umarł!...” i pióro wypadło mi z rąk.

Spodziewaliśmy się od dawna śmierci wielkiego pieśniarza, biuletyny o jego zdrowiu mówiły nam, że niema nadziei uratowania życia poety—a jednak wieść: „Asnyk umarł” równała się uderzeniu piorunu.

Umarły był ostatnią struną tej arfy, na której pierwszy Mickiewicz dłoń swą położył. Pomimo prądów wichrowych osłabiających lot górny ducha, pomimo chłodu mrozącego kwiaty natchnień proroczych—w pieśniach Asnyka odzywała się wciąż nuta dawnego romantyzmu, tej czystej, wielkiej, podniosłej pieśni wieszczów dawnych. Rozumem godził się z żelazną koniecznością dni nowonarodzonych, sercem ku przeszłości się zwracał i był jak bluszcz co „swoją latorośl przeciska do słonecznego światła—przez zwaliska.”

W dziejach narodu i w dziejach literatury imię Asnyka niespożytym blaskiem świecić będzie.

??

Z niewydanych poezyi Adama Asnyka.*)

Cieniom Malczewskiego.

Czy ty słyszysz, Antoni, z pod ciemnej mogiły,
Jaki poszmer twa „Marya” uczyniła w świecie?

Jak lutni twojej struny w sercach zadzwoniły,
Z jaką czcią na twój całun usypujem kwiecie...

Czy ty słyszysz, jak dumna z ciebie Ukraina?
Czoło wielkich swych wieszczów twymi wieńczy
[ślady,

I jak śmiało do walki wyzywa Litwiną,
I jak śmiało plac trzyma z „Konradem”
[i „Dziady.”

Patrzący cieniu wielkiego śpiewaka,
Przyjm od rodaków cześć i uwielbienie,
Gdyż one w sercu każdego Polaka
Tak świecić będą jak słońca promienie,
A przyszłość, arcydziełem twojem zadziwiona,
Przycisnie tęskną „Maryę” do ciepłego łona.

*) Wiersza tego udzielić nam zechciał łaskawie z literackich swych pamiątek szan. D-r T. Stępniewski, który w latach 1855–57 w koleżeńskich i przyjacielskich żył stosunkach z Adamem Asnykiem w epoce jego studiów medycznych.

ZEMSTA

NOWELLA

przez

ZNICZA (MARYĘ PAPROCKĄ).

(Dalszy ciąg).

Na drugi dzień ubrałam się w białą suknię; uczesanie moje staranniejsze niż zwykle wykończyłam i czułam, że byłam „dans mon beau jour.”

Zaraz po śniadaniu, zabrawszy wszystkie potrzebne nam przybory, poszliśmy z Lolem do ogrodu. Zwykle, same przygotowania przed malowaniem sprawiały już mi wiele przyjemności. Zapach farb, może dla innych niemiły, mnie się zawsze wydawał balsamicznym, a widok gamy kolorów rozłożonych na palecie podniecał mnie, rwałam się jaknajprędzej układać z nich kształty i kombinacje.

Zacząłam szkicować. Ręce mi drżały ze strachu, ażeby się nie okazać w oczach Lola zbyt nieumiejętną i niezdatną. Ale próżne to były obawy. On na mój rysunek nie często spoglądał, lecz tylko wyłączenie mną był zajęty!

— Nie powinnaś się nigdy inaczej ubierać, tylko białe, — rzekł. — Podnieś głowę, o, tak, i jedną rękę spuść, niby od niechcenia, a teraz się nie poruszaj. Doskonale. Jesteś zachwycająca. Twój portret w tym stylu byłby prześliczny. Wiesz co, chodźmy obmyśleć jaką odpowiednią dla ciebie pozę, dla tego obrazka.

Paletę na bok odłożyłam i poszliśmy na wzgórze, do kiosku, ubierawszy przedtem cały snop kwiatów, ku wielkiej zgryzocie ogrodnika. Lolo próbował pozować mnie najrozmaiciej, fantastycznie obrzucał kwiatami, które świetnie wydattały moją białą suknię.

— Idealny z ciebie model, — powiedział mi. — Sama rozumiesz i przeczuwasz jaki ruch będzie ładny i estetyczny. Nie masz pojęcia jakie to denerwujące, mieć model bez poczucia piękna, który się niczego nie domyśli, któremu szeroko trzeba objaśniać każdy szczegół ułożenia rysów lub fałdów sukni i mimo to jeszcze cię nie zawsze zrozumie.

Opowiadał mi wiele szczegółów, bardzo ciekawych, z życia malarzy, zręcznie omijając niektóre śliskie epizody.

Tego pierwszego dnia naszej wspólnej pracy niewieleśmy się zajmowali malowaniem. A następne podobne były do pierwszego. Godziny całe schodziły nam niepostrzeżenie, na rozmowie albo na rozpatrywaniu rozmaitych, coraz to nowych, kombinacji światła i cieni, jakichś kształtów zarysowanych artystycznie albo myśli, któremiśmy się wzajemnie dzielili. Tematy naszych rozmów były pewno nie nowe, słyszało się nieraz drugich, mówiących o tem samem, ale jakoś inaczej niż my, bez wewnętrznego przejęcia się i odczucia myśli, którą się wypowiada.

Nieraz robiłam to spostrzeżenie, że wiele jest osób, które na każdy rodzaj wrażenia, z zewnątrz odbieranych, mają gotową formułę sądu lub określenia, nabytą wskutek przebywania między ludźmi, do pewnego stopnia ukształconymi i stylizowanymi w życiu umysłowem lub towarzyskiem. Każde zdanie, jeżeli jest nam przez drugich podsunęte i za drugimi powtórzone, nie wnika do naszej głębi, przez usta nam się przesuwają obojętnie, to dźwięki słów bez echa w duszy, która tymczasem śpi sobie spokojnie, albo się wałęsa po manowcach. Prawdziwie zrozumiałe i odczute są tylko te pojęcia, do których samiśmy doszli, pracą umysłu lub odbieraniem wrażeniami.

Taksamo bywa i że zwykłą rozmową. Jedno i tożsamo określenie myśli będzie dla jednych zwykłą grą wyrazów, grą światła i cieni, dla drugich, każda litera tegosamego słowa zamy-

kać w sobie będzie cały świat uczuć i myśli wysnutych z głębi serca i umysłu. Myśmy do tych drugich należeli. Gdyśmy wymawiali wyraz „piękno,” wyraz, przez drugich tak często nieodpowiednio używany, a rzadko rozumiany, tośmy z nim kojarzyli zachwyt, który jak jego echo w pojęciu naszym się odbijał. Gdyśmy wymawiali słowo „miłość” albo „szczęście” tośmy w sennym tym dźwięku słyszeli hymn jego, z którym szły do wtóru uczucia nasze i myśli. I nie wiem nawet ile takich dni przeszło, które się zawsze zaczynały malowaniem, nigdy nie wykończonego obrazka, a kończyły całemi godzinami pogawędki, na tle pogodnego letniego krajobrazu, kwiatów i zieleni, skąpanych w jasności słońca. O czemśmy rozmawiali — trudno powiedzieć. Słowa były tylko formą, konturem wydatniejszych i grubszych rysów, wycieniowanych estetycznem otoczeniem, słowem i naturą, wspólnem pojmowaniem naszych myśli i... uczuciem. Treści powtórzyć nie potrafię. Znikł już cały materiał, który cieniował i subtelne wydattał kształty, rozporządzać dziś mogę tylko słowami, które dałyby tylko kontur, płaski i niewyraźny, bez odcieni delikatnych, w samych tylko grubszych zarysach i jednolitych.

Nie pomnę ile mi dni takich przeszło, to tylko pamiętam, że z mojej myśli i serca wysnuł się świat cały czarodziejski i piękny i otoczył mnie jakby jakimś nimbem narkotycznym, pełnym promieni słońca i barw harmonijnych z odgłosem pieśni o szczęściu i miłości. A w głębi mojej duszy wypieściłam i wyhodowałam myśl o przedłużeniu tego szczęścia na ciąg całego życia, szczęścia we dwoje, życia dla nas samych i przez nas samych tylko.

Niczem nie kierowana wyobraźnia, snuła wciąż inne a zawsze piękne obrazy przyszłości, ułożone z uczuć wielkich a subtelnych, ze wszystkiego, w czem technicznie piękna odbiło się choć w jednym atomie. Myślałam, że moje życie, to będzie kwiat przedcudny o świetnych barwach i zapachu, lecz zapominałam, że każdy kwiat wznosić się musi na łodydze, że ta łodyga korzeniem do ziemi wzrasta i ztamtąd dopiero czerpie potrzebne jej do życia soki, aby niemi zasilić woń i barwę kwiatu.

Przeszło mi tak parę tygodni. Nie troszczyłam się o świat cały. Lolem byłam zajęta. Marzenia moje i obrazy przyszłości ogniskowały się wszystkie u stopni ołtarza. Miłości naszej w innej postaci nie wyobrażałam sobie nawet. Tak czułam się zjednoczoną z nim sercem i uczuciem, że związek nasz uważałam za zupełnie naturalny. A choć przedmiotu tego nigdyśmy w rozmowach naszych nie potrącali, rozumowałam sobie, iż o rzeczy tak niechybnej i pewnej, wspominać nawet nie warto. Połączenie nasze wydawało mi się równie naturalnem jak i to, że po wiosnie zawsze lato nastąpić musi.

W tym czasie mąż mój zaczął się o mnie starać. Najzupełniej było mi to obojętnem, jak i wszystko, cokolwiek z Lolem nie miało styczności. Uważałam to jako chwilową różnicę w codziennem wiejskiem życiu monotonnem, do nowego gościa nie przywiązywałam żadnej wagi.

Jednego dnia Lolo szkicował małe studjum z natury, jakąś starą na wpół uschniętą wierzbę, powykręcaną na wszystkie strony fantastycznie i dziwnie, jakby w drganiach konwulsyjnych, wywołanych wewnętrznem cierpieniem. Siedziałam obok Lola, kładłam mu na paletę farby potrzebne i rozmawialiśmy wesoło. W ogóle będąc razem nigdyśmy nie byli smutni ani melancholijni, ale przeciwnie, hojna doza śmiechu wchodziła zawsze w skład naszych pogawędek.

Tego dnia przedmiotem naszych żartów były konkury mego męża. Naraz zauważyłam, że Lolo jakoś głęboko się zamyslił. Przestałam mówić, żeby mu nie przerywać wątku jego myśli. Po chwili rzekł on do mnie tonem poważnym i spokojnym, patrząc w przeciwny koniec ogrodu.

— Wiesz co, jednak odłóżwszy na stronę te wszystkie żarty, to byłby doskonały mąż dla ciebie. Jabym radził nie odmawiać.

W głosie mi zaszumiało, jakiś czarny wół zakrył jasność słońca, nie mogłam na razie nie odpowiedzieć. On chyba żartuje, pomyślałam. Nie. Mówił z przekonaniem i poważnie i nie patrząc na mnie spokojnie malował dalej. Byłam już wtedy dosyć w świecie obytą, więc umiałam zapanować nad objawem moich uczuć, to też starając się nadać swojemu głosowi ton obojętny, zapytałam:

— Dlaczego tak ci się zdaje? Proszę cię wytłumaczyć mi twój sposób myślenia.

— Hm, dobrze, — odrzekł. — Ale jeżeli masz mnie zupełnie zrozumieć, to musimy dotrzeć do źródła przyczyn. Zastanówmy się najpierw, na czem małżeństwo powinno być ugruntowane; prawda, że na miłości, czy nie?

— O tak, bezgranicznej, — odpowiedziałam z przekonaniem.

— Tak. Taka jest ogólna zasada, — ciągnął Lolo, — najprostsza kombinacja i logika mówi, że im więcej miłości, tem więcej spodziewać się należy szczęścia w małżeństwie. Tymczasem życie wykazuje nam na każdym kroku, że małżeństwo, to najpierwszy nieprzyjaciel miłości, ono ją zabija i wyniszcza, a że ostateczności często się schodzą, więc po gwałtownej miłości następuje często równie gwałtowny wstręt i odraza.

— Nie, to być nie może, — przerwałam, — jeśli kocha się prawdziwie, to zawsze, w każdej okoliczności jednakowo.

— Każdy tak mówi, kto się życiu z bliska nie przyjrzał. Ale posłuchaj mnie tylko a rację przyznasz. Bo co to jest miłość? Jest to w myśli, siła naszego uczucia, podniesienie jakiejś jednej istoty nad poziom powszechny. Stroimy ją naszą wyobraźnią we wszystkie możliwe przymioty i uroki, przenosimy bardzo wysoko, po nad zwykłą miarę ludzi, w jakiś inny świat, w niczem nie podobny do tej pospolitości życia, wśród której żyjemy i kochamy ten ideał, wytworzony przez nas samych. Chcemy go posiadać wyłącznie, dla nas tylko, przez całe życie — do ołtarza prowadzimy. Wtedy następuje drugi tom miłości, odwrotna jej strona. Widzimy, że nasz ideał potrzebuje do życia zupełnie takich samych warunków jak i wszystkie inne najprostsze stworzenia. Widzimy go zajętego pospolitemi obowiązками codziennego życia, bez których jednak istnienie nasze byłoby niemożliwe. Spostrzegamy dalej w naszym ideale wiele słabostek i usterek, bo któż ich nie ma, lecz do poznania ich nigdy przedtem nie nadarzyła się sposobność. Widzimy go w rozmaitych oświeceniach i humorach, czasem bardzo niekorzystnych dla wdzięków i uczucia. I naraz w pojęciu naszym stacza się ten ideał z piedestału, na którym postawiła go nasza wyobraźnia. Znikną wszystkie czary jakimiśmy go otoczyli, jednym słowem, zniknie ideał a pozostanie człowiek, do którego żal czuć będziemy, za to, iż zdarł z siebie wszystkie uroki, że z nieba na ziemię stąpił. Zwykle ludzie zapominają, że ten ideał sam się nie zrobił ideałem, że to ich własna wyobraźnia postawiła go na jakiejś nadzwyczajnej wyżynie. Wtedy to następuje ostateczność, która w życiu z miłością graniczy, faza żalu i odrazy. Im silniejszą była miłość, tem silniejsze są uczucia przeciwne, im wyżej byliśmy nad ziemią tem przykrejszy mamy powrót. Miłość taka entuzjastyczna, oparta na wyidealizowaniu swojego przedmiotu, z całkowitem oderwaniem się od wszystkiego co trywialne i pospolite, taka miłość według mnie jest jedynie prawdziwa, prawdziwa i estetyczna, i tylko taka przybierać może formy artystyczne. Ja, tylko taką miłość pojmuję i... odczuwam.

Zatrzymał się na chwilę a ja milczałam, bo gdybym była mówić zaczęła, byłabym może powiedziała za wiele. Przez cały ciąg jego mowy, ogarniał mnie coraz większy żal i smutek. Uczułam jakieś szarpnięcie i ból koło serca i wtedy zrozumiałam, że to nie frazes „serce mnie boli,” że ono z moralnych pobudek naprawdę fizycznie boleć może.

Lolo mówił dalej:

— Ale jest podobno jakaś jeszcze druga, inna miłość, taka, która z ziemi nigdy nie odchodzi,

a więc i upadków mieć nie może, wypływająca z szacunku, uznania i sympatyj wzajemnej. Ale dla mnie niepojęta. Podobno na podstawie takiej miłości budować można szczęście małżeńskie prawdziwe i trwałe. Ale dosyć tego filozofowania, — po chwili dodał żartobliwie. — Teraz przejdźmy z abstrakcyi do faktów rzeczywistych. Faktem jest, że taka rozsądna miłość wytworzyć się może między tobą i twoim terazniejszym konkurentem, może i będziecie szczęśliwi. A cóż jest celem naszych zachodów całego życia, jeżeli nie szczęście?

— Ale ja byłam daleka od rozumowania o tem co kruche, albo trwałe być może. Ta jedna jedyna myśl jasno w głowie mi świeciła, że on mnie zaprowadził w ten świat cudów i szczęścia w świat miłości, poniosłam tam za sobą, ślepą w niego wiarę i ufność, bezgraniczne uczucie i zachwyty, lecz on tam za mną nie podążył, bawił się mną tylko, a gdy już dosyć miał tego widoku, obojętnie i szorstko z nieba na ziemię mnie powołał. Pokazał mi się znowu artystą tylko takim, jakim ja go pokochałam. Machinalnie zaczęłam rwać kwiaty, odwracałam się, żeby nie widział twarzy a na niej pomieszania. Rzekłam spokojnie niby od niechcenia: Powiedz mi szczerze, czybyś wszedł w taki związek rozsądku, oparty tylko na szacunku i sympatyj mając tę inną entuzjastyczną miłość w sercu? Lolo, uśmiechnął się nieznacznie, zdawało mi się, może to było tylko moje przywidzenie, że to był uśmiech tryumfu.

— Badawczo patrzył na mnie i zaczął mówić wolno i dobitnie, jakby chciał, żeby każde jego słowo wyraźnie i głęboko w pamięci mojej się wryło.

— Naturalnie, że tak. W ten sposób wybudowałbym sobie szczęście spokojne codziennie, a to taki tryb życia lojalny średnio szczęśliwy, jakiego od nas wymagają i dać nam mogą światowe i towarzyskie warunki. A tamtą miłość, tę która powstała z ognia entuzjazu i poczucia piękna umieściłbym w jakimś precudnem sanktuarium, z dala od świata i ludzi od wszystkiego co pospolite i banalne i kiedy bym chciał zakosztować kilku chwil prawdziwego upajającego szczęścia, na tle samego piękna tylko, tobym od czasu do czasu moje sanktuarium odwiedził.

— Co rozumiesz przez odwiedzanie twego ideału zamkniętego w jakimś sanktuarium po za ludzkimi oczyma? — rzekłam żywo i groźnie, gdyż już dłużej nad sobą panować nie mogłam. Jakoby przez mgłę w bardzo jeszcze niewyraźnych konturach zaczęłam pojmować jego myśli. Lolo spostrzegł się widocznie, że powiedział za wiele, gdyż niespokojnie spojrzał na mnie a później rzekł, na wpół żartobliwie na wpół poważnie:

— Cóż może być sanktuarium jeżeli nie moja pamięć, a odwiedziny to wspomnienie. Gdybym się ożenił z moim ideałem bardzo prędko kochałbym go przestał, gdyby się przeciwnie stało, ideałem pozostałby dla mnie zawsze. Ja zwykle zapatruję się na wszystko z estetycznego punktu widzenia. Ale widzę, żeś zagniewana na mnie. O to pewno, że cię nudzę tak długo rozmową, która cię nie zajmuje. Już malować nie mam ochoty, chodźmy lepiej przejść się trochę po ogrodzie, tak razem pod rękę we dwoje jak zawsze. Czy dobrze?

Wyczerpywał wszystkie zasoby swojej kokieterii, by zatrzeć nią niemiłe wrażenie jakie wywołały ostatnie jego słowa. Wymówiłam się jakimś zajęciem i do domu powróciłam.

Gdym się u siebie znalazła, zastanawiać się zaczęłam nad tem wszystkim co mi Lolo powiedział. Koniec rozmowy odkrył mi jego kombinacje i plany. Nie byłam już wtedy naiwną gąską, nieświadomą wszystkiego co między ludźmi spotkać można. Łatwo też doszłam do przekonania, że on chciał mieć we mnie chwilową rozrywkę, kaprys fantazyi, zajął się mną i może nawet rozentuzjazmował, tak samo, jak się nie raz entuzjazmował, dla ładnego widoku, w którym, spodobała mu się jakaś kształtna linia lub efektowna gra kolorów, ale nie chciał

brać na siebie obowiązków trudnych i poważnych, przed którymi prawdziwe uczucie nigdy się nie cofnie a chciał mieć zaledwie rozrywkę we mnie, a dla ułatwienia sobie sytuacji i zachowania pozorów, radził bym została żoną innego. Dawał mi tylko zdawkową monetę uczucia, za moje całkowite: miedziakami płacił za moje złoto czyste i z głębi serca wyjęte, które mu niosłam w ofierze ufna i wierząca. Powiedział mi pod koniec rozmowy, że zapatruje się na wszystko z estetycznego punktu widzenia, tem kruchszą zatem podstawą jego miłości i mojego szczęścia. Jeżeli bowiem moja miłość dostarcza mu estetycznych wrażeń, to nie tylko ona jedna ma ten przywilej; na świecie jest jeszcze wiele innych rzeczy, które podobnymi wrażeniami hojną dłonią sypią. W każdej chwili cokolwiek innego w przyjemny sposób zadowolni jego artystyczne poczucie; dla tej nowości zachwytem zapłonie a dawny swój kaprys jak spowszedniałą zabawkę na bok odrzuci, tak samo jak w tworzeniu swoich obrazów nieraz rozpoczęte pomysły porzuca dla innych, choć nie zawsze piękniejszych, ale tylko nowych.

Rozmyślając tak i roztrząsając wszystko co mi powiedział, czułam się coraz więcej upokorzona i pokrzywdzona.

I żał coraz większy uczułam dla niego o to, że marzenia mi moje odebrał, rozwił świat czarodziejski, na padół leż stracił, serce zabrał a wzajemian dawał tak mało! Im dłużej myślałam tem większy zamęt powstawał w myślach moich. Przemysliwałam jak mi postąpić należało, ale odpowiedniego punktu wyjścia znaleźć nie mogłam.

(Dokończenie nastąpi).

PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Salu Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności).

(Dalszy ciąg).

Szekspir długo stał, jak olbrzym samotny wśród pigmejów, a poezja jego leżała na niwie ducha, jak oaza wśród pustyni. Twórczość poetyczna przez długi czas pozostawała pod naciskiem suchej mądrości scholastycznej, a w odczuciu przyrody, szczególnej w Germanii, przeważał kierunek mistyczno-teozoficzny. We Włoszech i Hiszpanii niezbyt bujnie i świeżo kwitła poezja w napoły mistycznej idylli, która była pozbawiona szczerości i naturalności. Sielanka francuzka wywołała na tle sztucznej przyrody postacie sentymentalnych pasterzy i pasterek, które mają serca wykwitnych dam i salonowców. Żywe odczucie natury uciekło na pewien czas pod skrzydła holenderskiej i francuzkiej umiało odtworzyć w krajobrazach nastroj indywidualny. Tylko pieśń ludowa Germanii wyobrażała proste, niewinne, ciepłe, a szczerze uczucie przyrody, ale uczucie to nie podnosiło się z pieluch niemowlęctwa duchowego, wypowiadając ze ślepym zaufaniem dziecka pierwsze swe, napoły mistyczne zachwyty. Z tej to jednak pieśni ludowej wytrysło z czasem ożywcze źródło poezji. Ona to stworzyła Goethego, ona stworzyła poezję romantyczną w Niemczech.

W Anglii liryka XV, XVI i XVII stulecia nawiązała w poezji nieco serdeczniejszą nić pomię-

dzy duchem ludzkim i naturą. Pierwszym jednak dopiero prawdziwym malarzem przyrody w nowszym tego słowa znaczeniu jest poeta, żyjący w początkach wieku XVIII, James Thomsen (Dżems Tomson).

Są badacze piśmiennictwa, którzy twierdzą, że w Anglii przed Thomsen'em, a we Francji przed Rousseau poeci mało zachwycali się przyrodą i pięknych jej wizerunków nie wprowadzili do swych utworów; jeżeli zaś poezja klasyczna zwróciła na nią niekiedy uwagę, to zachwycała się tylko symetrią linii, niekiedy dźwiękiem, ale wyższego duchowego piękna natury odczuć i odtworzyć nie potrafiła, a znamienne jest to, że płaskie równiny silniej przemawiały do wyobraźni poetycznej, niż potęga gór, w niebiosa wznoszących swe czoła. Na zdanie to odnośnie do Francji można zgodzić się w całości, odnośnie do Anglii zaś z uwzględnieniem poezji wielkiego Szekspira, i dodać jednak trzeba, że Szekspir, poeta nawskroś ludzki, odtwarzał przyrodę nie dla niej samej, nie wyłącznie z miłości dla tej czarodziejki, ale jako współczynnik artystyczny, jako narzędzie do wywoływania wrażeń psychologicznych.

Niepodobna porównywać Thomsena z Szekspirem. W odczuciu przyrody, jak i w odczuciu duszy ludzkiej, nikt chyba nie dorównał wielkiemu poecie Anglii. Jeżeli jednak decydujemy się na porównanie tych dwóch pisarzy, to nie ze względu na siłę, a ze względu na rodzaj twórczości.

Thomsen dał nam opis przyrody samej w sobie, opis jej wdzięków w uroczych krajobrazach, które oglądał oczyma rozmiłowanego wielbiciela — poety w długich dniach samotności wśród pól, lasów i gajów. A przyrodzie tej, krajobrazom tym dał nastrój duszy własnej, nastrój, pełny cichego, sentymentalnego marzenia, uczuć religijnych i szczerzego zachwyty: więc żyje w niej spokój i słodycz życia wiejskiego, przyjemna zieleń pól i ogródów, dźwięki pieśni słowiczych i szum strumyków. Umie jednak niekiedy ten poeta wybiedz i na szersze horyzonty, umie wdrzeć się na wyżyny gór, płynąć po wzburzonych falach morskich, wzlecieć na obłoki, odgadnąć tajemnicę gry światła i odcieni barw. Wszystkie opisy Thomsen'a są, jak słusznie mówi Hettner, „świeże i pełne ożywienia, pełne ciepła, które z duszy poety przelewa się na przyrodę, daje jej życie duchowe, a często nawet pełne są zdumiewającej piękności. Jak kwitnie i wonieje wiosna jego na podobieństwo kobierca łąk, usłanego kwiatami, jak czuć nad jego latem żar nieba, jak rozpościera się w niem bogata zieloność pięknego dnia sierpniowego, jak schylają opadające ze znużenia głowy pola jesienne, drzewa i latorośle winne, jak odczuwamy i słyszemy nieprzyjemny trzask lodu zimowego, jak gdyby przyroda umierająca raz jeszcze zbierała siły, aby odmłodnieć dla zarodków nowej wiosny.“

Pieśń Thomsen'a stanowi najsilniejszy w swoim czasie protest przeciwko zerwaniu węzłów naturalnych z przyrodą w dziedzinie poezji. Anglia pozostawała jeszcze naówczas pod wpływem pseudo-klasycyzmu i smaku francuzkiego. W Thomsen'ie i w niektórych podrzędniejszych poetach Albionu wyraził się bunt przeciwko temu wpływowi, ujawniła się chęć powrotu do rajów utraconego przyrody.

Dażenia powyższe wywołują też w poezji niemieckiej pierwszej połowy wieku XVIII nastroj elegijny oraz zamiłowanie w opisach odtworzeniu pojedynczych zjawisk i piękna przyrody. Twórczość w tym kierunku jednego z ówczesnych poetów Ewalda Klejsta nie jest pozbawioną głębszej myśli i uczucia, wieje od niej świeży oddech zielonych łąk, płynie pieśń chwały ku niebiosom. Wogóle jednak cała poezja tej epoki robi wrażenie ucieczki znudzonego życiem miejskim „bürgera“ na szerokie pola, aby odechnąć ożywczym powietrzem wiosny, a za przewodników do zrozumienia przyrody i odczucia jej wdzięków służą mu Damony, Chloe i Dafny poezji klasycznej. Przyroda stała się modną w życiu i w poezji. Zachwycanie się nią było sprawą dobrego smaku i dawało do zrozumienia,

że dana jednostka zrywa z suchą prozą życia, z zepsuciem wieku i pragnie odświeżyć swą duszę na łonie natury. Najpodnioslejszym czynnikiem tej poezji było uczucie religijne.

Jak wschodząca jutrenka od szarych mroków nocy, odbija się od tła poezji wieku XVIII postać śpiewaka, o którym mówi Carriere, że stał się gwiazdą zaranną nowej w Niemczech poezji. Poetą tym był Klopstock. Dał on swobodny wylew uczuciom osobistym, dał im piętno szlachetności i podniosłości, choć z drugiej strony uczucia te zazwyczaj miękną w łzach rozczulenia elegijnego. Przyroda obudza

w nim zachwyt, napół słodki, napół bolesny; widzi ją poeta, to przez łzy, to jakby we śnie czarownym. Całymi godzinami, jak świadczy wielbiciel jego, Kramer, stoi on, milcząc, przy kwiatku, bada wzrokiem mech, kładzie się na trawę, zdobi swój kapelusz kwiatami polnymi i liśćmi dębowymi i, tak uwieczniony, marzy o śmierci, o nieśmiertelności i życiu wiecznym. Niekiedy poeta ten wywołuje przed nami wielkie zjawiska natury w słowach podniosłych, które przypominają psalmy proroków; a w wywoływaniu tych zjawisk, jak również innych, mniej podniosłych, ma coś osobliwego to mianowicie, że

nie tyle w obrazach, ile w dźwiękach rytmu odtwarza nastrój w przyrodzie. Potrafi on czarem rytmicznego wywoływać obrazy natury. Szyller słusznie mówi o Klopstocku, że „każdy przedmiot, który obrabia, odziera z ciała, aby go na duchu przeistoczyć, gdy przeciwnie, inni poeci pierwiastek duchowy w ciało przyoblekają.“ Wogóle poeta ten w odczuciu natury łączy dawną elegijną ność z nowym, szerszym wylewem uczuć z pojmowaniem wzniosłości w przyrodzie, choć wzniosłość ta przechodzi często w napuszystość lub tklliwość nadmierną.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MYŚLI ASNYKA.

Próżne zabiegi! wieczyste pragnienia!
Zwodnicze widma! Któż was nie wyklina?
A jednak mimo klątw i złorzeczenia
Každy na nowo wraca i zaczyna
Szukać tej mary, co świat opromienia —
I o dawniejszych klęskach zapomina!

Poezja w życiu—to ból i troski!...

Przez wszystkie śmierci ogniwa
Postępu ciągnie się nie —
Ból samowiedzę zdobywa,
Chcę cierpieć, kochać i żyć!

Wszystkie ludzkie nędze i rozpacz
W swoim sercu pomieszczone mam —
Gdy nad szczęściem utraconem płaczę,
To nad czym? nie wiem dobrze sam!

O! kto do tyla duszę swą zuboży,
Że już z niej zetrze nieśmiertne piętno
I dobrowolnie w prochach się położy,
Jak samobójca pierś splamiwszy smętną:
Wart, by go zdeptał prawd skrzywdzony mści-
I nawet pamięć jego będzie wstrętną! [ciel

Będziesz wszystkim, będziesz niczem
W wszechświatowym śnie,
Zestawieniem mgieł zwodniczem
Na błękitów tle —
Kroplą rosy, trawy listkiem,
Światłem nocnych zórz;
Będziesz niczem, będziesz wszystkim
W oceanie dusz!

Cóż jest słodsze nad rodzinny związek,
Co wielkiem drzewem jedności wyrasta
I pełen wiecznie zielonych gałęzi
Ocienia sobą cały obręb miasta —
I nad tę wiarę, która wszystko zbliża
W nawie kościelnej u jednego krzyża?

A jednak, wierze, że ten ból, ta praca,
W której się własną istotą zatracą,
Zdaje się niknąć, atom po atomie
W wiecznej piękności blasku i ogromie
Jak rosa w słońcu... jednak przecież warto
Chociaż na chwilę dać swą pierś rozdartą
Tym, którzy łakną i tęsknią za niebem
I głodnych karmić ideałów chlebem.

Chodź do nas, dalej do koła!
Z nami zabawisz się pięknie —
I będziesz tańczyć i śpiewać
Póki ci serce nie pęknie.
Lepiej niech pęka od razu
W krwawej przeszłości uścisku,
Niż — ma zastygać powoli
Na brudnym ludzi śmiecku.

W olbrzymem pokoleń trudzie
Będziemy ogniem łańcucha,
Co się poświęca —
Nie marzmy o łatwym cudzie!
Najwyższy heroizm ducha
Jest walką — co nie wybucha,
Pracą — bez wieńca!

...Miłość, która płynie
Z poznania ziemskiego mętu
Jest światłem dusz!

Pokaż mi ciszę wschodzących zórz —
Zmartwychwstających
Królestwo dusz...
A dbać nie będę o szczęście własne,
Spokojny zasnę.

Dla ducha niema granic i przestrzeni.

Miejmy nadzieję — nie tę lichą, marną,
Co rdzeń spróchniały w wątły kwiat ubiera —
Lecz tę niezłomną, która tkwi jak ziarno
Przyszłych poświęceń w duszy bohatera.

Miejmy odwagę — nie tę jednodniową,
Co w rozpaczliwym przedsięwzięciu pryska —
Lecz tę, co wiecznie z podniesioną głową
Nie da się zepchnąć z swego stanowiska.

Odkąd humor i jowialność
Przepędzono precz za bory,
Znikła wszelka naturalność,
Znikło zdrowie i kolory —
Nawet pracza, bieląc płótno,
Jak Elektra wzdycha smutno.

Ponad tem wszystkim co początek bierze
W ciężkiej i dusznej życia atmosferze,
Ponad tem wszystkim jest jaśniejsza sfera,
Będąca ziemskiej tęczowem odbiciem,
Ta zmienne kształty w wieczny blask ubiera
I jak posagi stawia ponad życiem —
Ta sfera jasna, sfera ideału,
W którą świat żywych wsiąka wciąż pomal-

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusze 6-ty T. II, powieści p. t. *Marzenie* przez Flor. Marryat. Przekład z angielskiego

Treść: Ś. p. Adam Asnyk, przez A. Dobrowolskiego. — El...y profil, przez Szczęsną. — W dzień pogrzebu Adama Asnyka, przez K. Glińskiego. — Pogrzeb poety, przez J. H. — Pogawędka, przez ?? — Z niewydanych poezji Adama Asnyka Cieniom Malczewskiego. — Zemsta, nowella, przez Znicza (Maryę Paprocką) (dalszy ciąg). — Przyroda w poezji, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Myśli Asnyka

Dodatek obejmuje: *Marzenie*, powieść przez Flor. Marryat. Arkusz 6-ty T. II. Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. 14 wzorów i robót z opisem. — Sekret gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Kraków. — Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 30 Іюля 1897 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg